TYGODNIK
POWIEŚCIOWO-NAUKOWY.

WYCHODZI CO CZWARTEK KAŻDEGO TYGODNIA.

W. DYNIEWICZ, WYDAWCA I WŁAŚCICIEL, 532 NOBLE STREET, CHICAGO, ILLS.

PRENUMERATA ROCZNA WYNOSI:

DLA NAPRZÓD PŁATNYCH ABONENTÓW „GAZETY POLSKIEJ"	DLA TYCH, KTÓRZY NIE ABONUJĄ „GAZETY POLSKIEJ"
W Stanach Zjednoczonych i Canadzie $1.00	W Stanach Zjednoczonych i Canadzie $2.00
Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej i Azyi 1.50	Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej i Azyi 2.50

PRENUMERATĘ PRZYJMUJE SIĘ JEDYNIE NA CAŁY ROK, I MUSI BYĆ NAPRZÓD OPŁACONĄ.

Entered at the Post-Office at Chicago, Illinois, as Second-Class Matter.

No. 17. *Chicago, Ills., 22 Października, 1885 r.* Rok II.

OPOWIADANIA
JMĆ PANA WITA NARWOJA,
ROTMISTRZA KONNEJ GWARDYI KORONNEJ.

A. D. 1760 – 1767.

— SPISAŁ —

WŁADYSŁAW ŁOZINSKI.

(Ciąg dalszy.)

Stanął na stole węgrzyn, o którym pan Mursz na honor przysięgał, że Tokaj widział, i zaczęła się pogadanka w której ja z moich zamiarów się spowiadając, zasięgałem rady i objaśnień jak mi postąpić należy. Wedelsztedt powiada mi, że właśnie kupił sobie kompanię i że zapłacił za nią 12.000 złotych bo i plac chorążego musiał opłacać przedtem, gdyż mu tak odrazu na kapitanię skoczyć nie pozwolono. Ucieszyłem się, że ceny nie przesadne i że choćbym był zmuszony rangę kupić, toby mi to mieszka tak srodze nie poderwało — ale mnie Deibel praw i zwyczajów wojskowych w Polsce *perfecte* świadom, wnet w tej wesołości umitygował, tak mi tłumacząc:

— Nie baw się ty bracie nadzieją bezpłatnego wakansu, bo o to chodzić trzeba przykremi drogami a tak długo, że cię ochota minie. A choć na koniec jakiej wakancyi dopadniesz, to ci się to na nic nie przyda, bo będzie to zapewnie jakowaś ranga od „pustego regimentu". Byłeś ty, panie kamracie, w innem woj-

sku i inaczej się na ten stan patrzysz, abyś miał być oficerem od słomianego pułku. Radzę tedy, nie czekaj, nie chodź i nie suplikuj, a kup. Potem jeszcze będziesz miał czas prosić, gdy awansować zechcesz. Co zaś do ceny, to nie bierz tego za miarę, co Wedelsztedt zapłacił, bo najpierw Wedelsztedt trafił na kapitana, co sprzedać musiał jak najprędzej, a powtóre bo rangi w piechocie tańsze są niż w kawaleryi, a ty podobno już z koniem się nie rozstaniesz. Owo masz tedy wiedzieć, panie bracie, że stopnie teraz są droższe niż kiedykolwiek bywały, a to z takiej racyi, że sejm ma wojsko lepiej opatrzyć i laffę hojniejszą obmyśleć. Dawniej szefostwo pułku 180.000 zł. kosztowało, i to już bardzo słono było, a teraz książę Józef Lubomirski za szefostwo piątego pułku przedniej straży, dał 270.000, a jeszcze mu kazano szwadronowego dorzucić całych 16.000. Pan Karwicki za szefostwo pierwszego pułku kawaleryi lekkiej imienia królowej, wysypał na stół 10.000 dukatów, jakby orzechów. A z mniejszemi rangami przy zachowaniu proporcyi także nie inaczej. Ja sam stargowałem przed dwoma laty dla jednego z mych znajomych podpułkownikowstwo za 42.000 zł. i to w trzecim pułku Buławy Polnej, a teraz za nędzne rotmistrzowstwo trzeba stawić 30.000. Bądź więc na to wyperswadowanym a patrz jeszcze, by cię nie oszukano, bobyś ty sobie łatwiej braciszku dał radę na jarmarku końskim, niż na tym targu złotych bandoletów...

— Powiedzże mi, kapitanie — rzekłem do Deibla — jak się tu dowiedzieć o jakim stopniu rotmistrzowskim, co jest do sprzedania, bobym już kupił sobie szwadron? Dzięki Bogu stać mi na to.

— Jest tu — rzecze na to p. Deibel — faktor wojskowy, czyli jako się sam zwie „rotmajster i agent militarny wszelkich najjaśniejszych dworów europejskich,". Nazywa się Borawka, a jakim on tam jest rotmajstrem, to ja już tego nie wiem, podobno tego mocarstwa na mapie nie znaleźć, do którego armii onby należał. Ale to pewna, że bez niego rady nie dasz, chyba żebyś czekał na jaką szczęśliwą okazyę, a na to spuszczać się trudno. Bądź że ty tylko na ostrożności, kiedy z tym Borawką traktować będziesz, bo to szachraj jest i niecnota szczwany, i niejednego już wywiódł w pole.

Ledwie tych słów domówił, gdy nagle wpadł do winiarni człeczek małego wzrostu, mizerny, z dużą, bundziucznie w górę zadartą czupryną ryżej barwy, z nosem dużym i oparzystym. Ubrany był w żółty wytarty kontusik a przepasał się okrutną szablą, niemal tak szeroką i dużą jak on sam, a z gifesem i furdymentem takim, że miałaby się czego jąć pięść jakiego Goliata. Na śmiech się zbierało patrząc na tego człowieczynę, choć znowu z drugiej strony coś odpychało od tej figurki, bo migotała oczyma tak chytrze i zdradziecko, a uśmiechała się tak obleśnie i nikczemnie, że mimowoli człek sobie przypominał ową łacińską przestrogę: *Hic niger est, hunc te caveto!*

Wleciał jak wrzeciono i zasapany a z straszliwym brzękiem szabliska i zaraz przy drzwiach począł strzelać dokoła oczyma, wołając przytem z całego gardła:

— Mościpanowie oficerowie! *Meine Herren Offiziere! Messieurs les officiers!* Rotmajster Borawka, agent militarny wszelakich najjaśniejszych dworów europejskich sumituje się Waszmościom wszystkim i ofiaruje usługi swoje. Czołem Mości panowie, czołem! Mam różne rangi, powierzone mi na przedaż w konfidencyi, mam regestr wakansów najlepszych, pośredniczę w konfirmacyach, ułatwiam zmianę regimentu za regiment, autoramentu za autorament. Wszystko to czynię z honorowej gotowości, po uczciwem koleżeństwie... Mam także śliczne konie po niesłychanie taniej cenie, wyraźnie jakby kradzione, Mości panowie oficerowie! Przypominam się, Mościpanowie, i proszę o względy; nikt tak nie usłuży jak rotmajster Borawka. Rząd suty, srebrny, hussarski! Kto kupi rząd srebrny? Dam za bezcen! Buzdygany kameryzowane, blachmalowe, marcypanowe dla poważnych znaków? Mam ja za półdarmo! Czepcy, siatki, egretki, karwasze żelazne, polerowane jak zwierciadła? Prawie to rozdarowuję.

Tak pytlował ustawicznie chodząc między stoły i kłaniając się na wszystkie strony. Deibel wskazał mi nań i rzekł:

— Oto masz Borawkę, pomów z nim, ale radzę raz jeszcze, ostróżnie. My z Wedelsztedem wyjść musimy na chwilę, ty zostań tu i czekaj nas, nie kończąc interesu.

Gdy się tak z Deiblem żegnam, on bierze mnie na stronę i mówi:

— Mój bracie drogi, muszę cię przestrzedz. Mówiłeś mi,ześ Prusakom uciekł po prostu,

więc czemu nosisz twój mundur? Wiedzże Waszmość, że cię tu agenci i werbownicy pruscy, co się często po całym kraju snują, kiedyś porwać gotowi...

— Co? porwać mnie z własnego kraju? — rzekłem — a toć by to już sromota była i gwałt niesłychany.... Radbym ja tu widzieć tego, coby mnie tu napastować się ośmielił.

— Nie mów Waćpan wiele — rzecze na to Deibel — bośmy już na takie rzeczy sami patrzali. Żeby to gwałt był, to prawda, ale tu w Polsce rząd slaby, a bezpieczeństwo publiczne niewielkie. Czy to ty nie wiesz, że kilka lat temu barona Trencka, kiedy zbiegł na ziemię polską, trzykroć wysłanniki pruskie chwytały; dwa razy z ciężką biedą im uszedł, a za trzecim razem w Gdańsku dostał się im w ręce i teraz mizernie gnije w lochach Magdeburskich.

Zrobiły te słowa na mnie impresyą, i skonfundowały potrosze, bo istotnie tak się rzecz miała, jak mi to wiadomo było. Tego Trencka sam raz w Poczdamie widziałem, śliczny to był młodziutki oficer. Padło nań podejrzenie, że się znosi z owym drugim Trenckiem, swym stryjaszkiem, co to nam tak srodze podczas ostatniej wojny dokuczał cesarskiemi pandurami. Zamknięto go do twierdzy Glatz, a on umknąwszy ztąd, długi czas w Polsce i w Rosyi przebywał, aż go Prusacy gwałt popelniając na polskiem terytoryum, w Gdańsku porwali.

Rychło wszakże złą myśl wybiłem sobie z glowy, bom już tego ani chciał przypuszczać, aby na mojej skórze tyle zależało Prusakom iżby mnie aż tu w dalekiej Polsce łowić mieli. Zaśmiałem się tedy i ścisnąwszy dłoń Deibla rzekłem:

— Owa! Niestraszny mi tu już ani mój oberszter Koggeritz, ani nawet sam król Fryc, a tych wyslanników pruskich, coby mnie aż tu szukać mieli, roznieślibyśmy tu w Radomiu na szablach. Król Fryc ma długie ręce, to prawda, ale mu aż tu do mnie palców nie starczy!

Odwróciłem się teraz do owego rotmajstra Borawki i chciałem zacząć o interesie — aż tu nagle z okrutnym krzykiem, z junackim śmiechem i marsowym brzękiem wpadło do izby trzech towarzyszy chorągwi pancernej, przy szablach i srebrnych sajdakach, które na on czas jeszcze jako symbol starożytny rycerski noszono. Wszyscy trzej byli to ludzie nie młodzi, ale wpadli z junacka i z rwetesem, bo już snać dobrze czupryny podegrzali węgrzynem. Mój Borawka ledwie ich ujrzał nuż do nich zaraz w ukłony i zalecanki, na nikogo już więcej nie patrząc — tak, że *volens nolens* musiałem zaczekać i usiadłem sobie w kącie, dopóki ten najazd pancerny nie wyleci jako przyleciał.

W winiarni nie było już nikogo, prócz towarzyszy, Borawki, i dwóch jeszcze osób. Z tych dwóch osób jeden był jakiś młody oficer w mundurze regimentu dragońskiego pod komendą JMP. generała Wielopolskiego, młodzieniec dziwnej urody, blady, czarnowłosy, chłopię za oczy pociągający. Siedział zasępiony czegoś bardzo, głowę na ręku oparł i tak w ciężkim frasunku zdawał się być zatopionym. Drugi, co siedział w przeciwnym odemnie kącie, był to staruszek już bardzo zgrzybiały, w peruce dużej, zaschły, zawiędły, i bardzo niepokaźnie a po niemiecku ubrany.

Kiedy ci trzej towarzysze tak wpadli do winiarni, poczęli zaraz krzyczeć, aż szyby brzęczały:

— Mursz hej! sam tu Mursz! Dawaj wina szczecińskiego, a jak nie masz, to muszkatela, ale żwawo, bo cię przepędzę!

Mursz się zwinął na piętach a za chwilę stanął na stole cały szereg butelek. Jeden z towarzyszy, chłop sążnisty, łysy, z karmazynowym nosem i wąsem, gdyby wiecha, ze szramą na łbie, jakby go pługiem przeorano, rozglądnął się po izbie a ujrzawszy tego staruszka, stuknął butelką i zawołał:

— Sam tu Niemcze! Na masz, wypij, gębę otrzyj, podziękuj i ruszaj sobie, bo tu panowie piją!...

Staruszek, który sobie siedzial spokojnie, Bogu duszę winien, wstrząsł się cały, poczerwieniał, i gniewnie na pijanego spojrzał; potem zaś, jakby się inaczej namyślił, udał, że niby nie słyszy, i przez okno na ulicę wyglądać począł.

— Ano, słysz ty! stary capie niemiecki! — huknie sobie jeszcze głośniej pan Towarzysz, — kiedy pić nie chcesz, to się na sucho wynieś, albo cię przez okno wyrzucę!

I jakby chciał wykonać tę groźbę, porwał się z zydla, choć go tamci mniej pijani powstrzymywali, mitygując łagodnie. Zindygowała mnie ta obelga dla starca spokojnego, którego mia-

łem za chudzinę i cudzoziemca, więc wstaję z mego miejsca, idę ku staruszkowi i siadając przy nim tak mówię:

— Ten pan tu ze mną przyszedł; jak zechce pić, to sam sobie podać każe, a jak zechce wyjść, to wyjdzie, kiedy mu się podobać będzie, a ktoby miał co przeciw temu, to niechaj ten wie, że nie on sam jeden szablę nosi. Waszmość zaś nie po kawalersku sobie poczynasz, że siwego włosa nie szanując spokojnych turbować się nie wahasz.

Gdym te słowa wyrzekł, ów stary jegomość spojrzał na mnie ostro i rzekł:

— Dziękuję Waćpanu za opiekę, ale ja jej nie potrzebuję ani nie proszę o nią Waćpana. Nie frasuj się Waćpan o mnie, już ja się tego rycerza z pod wiechy nie boję.

Ozwawszy się takiemi słowy, starzec ów wyciągnął z kieszeni dwa małe, śliczne oprawne pistolety, kurki odkręcił, na stół je rzucił, a potem założywszy ręce, spokojnie siedział.

Pan Towarzysz tymczasem już chciał szabli dobyć, ale tamci za poły go trzymając, na zydel posadzili, pod nos mu pełną szklanicę pchając a „Wiwat twoje zdrowie Jacku!" ustawnie wołając. On poczuwszy zapach wina, szklanicę podaną jednym haustem wypróżnił, i jakby o starym zapomniał, ku mnie się groźnym wzrokiem zmierzył. Nie byłem ja nigdy zawadyaką i burd pod wiechą robić nie moim było zwyczajem, alem też nie był tchórzliwego serca i lada jakiej przegróżki junackiej nigdym się nie uląkł — to też wytrzymałem wzrok okrutny pana Towarzysza, i tak ostro patrzymy dobrą chwilę oko w oko, on na mnie, ja na niego, ani słówka przy tem nie mówiąc. Sprzykrzyło się to panu Towarzyszowi, bo naraz butnym głosem tak mówi:

— Słuchaj no Wasze, a z jakiego to Wasze regimentu? Czy nie od dragonów?

— Zgadłeś Wasze — odparłem — jestem od dragonów...

— Tedy od lekkiej kawaleryi! — zawołał ze śmiechem p. Towarzysz — cha! cha! od lekkiej, od lekkiej. Mospanie! cha! cha!

— Od lekkiej, od lekkiej — powtórzyłem spokojnie — ale czemu to Waszmości tak śmieszno?

— A to chyba Wasze nie wiesz — mówi on z ciągłym śmiechem — czemu to dragonów lekką kawaleryą zowią? Hę? nieprawdaż, że Wasze nie wiesz, ale ja mu to krótko wyjaśnię.

I oglądając się po obecnych tak się ozwał do mnie:

— Owoż masz Wasze wiedzieć, że tak o tem jest napisano:

Czem dragońskie chorągwie lekkie nazywają?
Bo zawsze ciężko biorą, lekko uciekają...

Śmiech okrutny powstał w całej izbie, a osobliwie z tryumfem śmiać się zaczęli panowie pancerni. Czekam ja aż się uciszy, a gdy się już trochę śmiać ustano, mówię:

— Uważajże Wasze, panie Towarzyszu, abym cię także nie wziął w dragony...

— Owa, a jak to Wasze rozumiesz?

— Oto tak, abyś Wasze *ciężkie nie wziął, a lekko nie uciekł.*

I machnąłem dłonią znaczącym gestem, spuszczając ją na gifes szpady. Śmiech się teraz obrócił jak wiatr, mnie wiał w plecy, a jemu w same oczy. Zczerwienił się jeszcze bardziej pan Towarzysz, nadął się i mówi już ze srogim ferworem:

— Słysz no Waszmość, panie dragon!

— Do usług panie Towarzysz!

— Widzisz Waszmość tę szablę — ozwał się p. Towarzysz — uderzając po furdymencie, aż w sajdak zadzwoniła.

— Widzę, Mościpanie widzę, nowiuteńka!

— A wiesz Wasze, co na niej napisano?

— Waszmość tylko zawsze z tem wyjeżdzasz, co gdzie stoi napisano — mówię mu na to — a moja szabla sama pisze, powiadam Waszeci, tnie abecadło po łbach jak bakałarz!

— Patrz że Wasze, abym ci nie wytłumaczył raz jeszcze, co stoi napisano — wrzeszczy tracąc kontenans coraz bardziej pan Towarzysz, i tłukąc raz jeszcze pięścią po pochwie. — Na tej klindze taka dewiza:

Szach! mach!
Sieję strach!

— A na mojej — mówię na to spokojnie — napis opiewa trochę inaczej i bardziej *modeste*. Mościpanie Towarzysz! Na mojej szabli takowa dewiza:

Nie włócz mnie bez honoru.
Nie dobywaj bez racyi.

— A kto tam wie, kędy ją Wasze włóczyłeś — rzeknie Pan Towarzysz, coraz większą

pasyą się unosząc — a co do racyi, to ją dam Waszmości zaraz. Wiesz Wasze, z kim mówisz? Jestem Jacek Szturrawski, przez dwa r trybem starożytnym, herbu Rawicz, z Dobrzyńskiej ziemi...

A ja jestem Wit Narwoj, przez jedno *r*, ale takie stare jak Waścinie obadwa, herbu Kościesza, z krakowskiej ziemi.

— Patrzże Waćpan, p. Narwoj, abyś czego nie narwał!...

— Ejże, zwolna, Mości Szturrowski, by cię nie poszturkano!...

Na te moje słowa już p. Towarzysz nie mógł zmoderować swojej okrutnej pasyi, ale porywając się z zydla dobył szabli i wali na mnie obcesem. Ci dwaj, co z nim przyszli, już go nie miarkowali jak przedtem, ale zagrzani trunkiem i obrażeni despektem, który spotkał ich towarzysza, nuż także do szabel i hejże na mnie!

Ledwie się umknąłem na bok przed pogańskiem cięciem onego pijanego Goliata, który, nim ja szpady dobyłem, już mi szablą gwizdnął po nad głową. Gdyby nie szybki skok na bok, byłby mi niecnota łeb rozpłatał z kretesem, tak że już i felczer nie byłby nic na mnie zarobił. A tak szabla uderzyła z straszliwym impetem w stół dębowy, aż trzaski poleciały — a ja tymczasem dobywszy mojej szpady byłem już w pogotowiu.

W tejże chwili ów młody oficer, o którym wspominałem, przyskoczył do mnie, a dobywając szabli, zawołał:

— Ja z tobą, panie oficerze! Tylko ostro, a nie damy się tym pancernym panom!

Tymczasem ja odbiłem drugie cięcie Szturrawskiego, a odskakując w tył i stawając w pozyturze, tak się do moich napastników odzywam:

— Hola! Mościpanowie! hola! Nie po rycersku to i nie po szlachecku w trzech nastawać na jednego! Ja zwad i awantur pod wiechą nie zwykły, alem do rozprawy honorowej gotów zawsze, jak przystoi szlachcicowi i oficerowi! Albož nie wiecie Mościpanowie, że to gardłowa sprawa, dobywać pałaszy tu w obliczu komisyi wojskowej! Jam nie excessant, i kryminału popełniać nie chcę, ale bronić się będę, a jak do czego przyjdzie, to nie ja dam gardło lub *modo canino* deprekować będę, ale ten, co kość rzucił pierwszy!

Poparł mnie w tej perswazyi mojej ów nieznajomy młody oficer, wołając:

— Zawadza wam głowa na karku, Mościpanowie! Owo pilnujcież, abyście się nie otrzeźwili *in fundo*, albo pod mieczem katowskim! Ksiądz biskup Załuski (ówczesny prezydent komisyi radomskiej,) twardą ręką trzyma dyscyplinę; na rozum to sobie weźcie... Ja tu tego oficera nie opuszczę, choć go znać nie mam honoru, i kto wie, jak Waćpanowie z tej przygody wyjdziecie — ale do hauptwachu nie daleko a rontu co jeno nie widać!

— Kto do mnie ma jaką urazę, ten mnie znajdzie! — rzekłem ja znowu — satysfakcyę mu dam uczciwą, jakiej tylko pożądać będzie, ale nie tu pod jurysdykcyą trybunalską, jeno za miastem, po za terytoryum komisyi!

Trafiły te argumenta do dwóch nieco trzeźwiejszych jeszcze towarzyszy, toż chowając pałasze, wzięli p. Szturrawskiego za ręce i przytrzymując go przemocą, perswadować poczęli:

— Jacku, dajże ty pokój dzisiaj i nie rób tumultu. Już ty mu jutro tak łeb utniesz, jak dzisiaj, ano i lepiej jeszcze! Ułóżmy pojedynek, niech ten Niemczyk potańcuje młyńca z nami, a będzie mu kwaśno.

— Komu tam z nas kwaśno będzie, temu dajmy pokój — rzekę ja teraz — w ręku to Bozkiem leży, ale jaki pojedynek Waszmoście zaproponujecie, taki przyjmę: z jednym, z dwoma, a choćby z wszystkimi trzema, za jedno mi to będzie, bo się was wszystkich nie boję!

Pochowaliśmy szable do pochew, a ów pan rotmajster Borawka, który kiedy już na gołe łby iść miało, gdzieś do alkierza się schował, wbiegł teraz nie proszony, i narzucając się na bezparcyalnego świadka, począł razem z nami pojedynek ów układać, przyczem, co mnie nie pomału zdziwiło, na moją stronę ciągnął, bardzo obleśnie i z wielką wrzekomo kordyalnością mnie się zalecając. Jak na to, przyszli teraz do gospody Wedelsztedt i Deibel, a dowiedziawszy się o wszystkiem, zaraz mi się za sekundantów służyć ofiarowali. Tak tedy ułożono, abym się potykał na rękę z wszystkimi trzema po kolei, jeślibym z pierwszego spotkania cały wyszedł, i aby ten pojedynek odbył się pół mili za miastem, koło dwóch rozwalonych wiatraków, które tam stały. Ja domagałem się koniecznie, aby się z tem wszystkiem sprawić dziś jeszcze, nie odkładając na później, ale ów intruz Bora-

wka, jakże począł perswadować, jako jutro i po jutrze ważne są sesye w komisyi, i jako traktowane będą z regestru najważniejsze sprawy, przy których panowie pancerni będą musieli być *praesentes* — tak musiałem przystać na to, że się rąbać będziemy dopiero pojutrze po południu.

Skończywszy tę niemiłą transakcyę, podziękowałem ja onemu oficerowi od dragonów Wielopolskiego, co tak szlachetnie w tej przygodzie po mojej stanął stronie, i ściskając mu dłoń serdecznie, rzekłem:

— Panie oficerze! Dziękuję ja Waćpanu uprzejmie za kawalerską i honorową przysługę, którą Waszmość mnie nieznajomemu wyświadczyłeś. Liczże Waszmość na mnie w równej przygodzie, stanę ja wtedy tobie, jak ty mnie stanąłeś, boć może jeszcze spotkamy się kiedy.

On tych słów z roztargnieniem słuchał i tylko mi rękę uścisnął — a ciągle czegoś z wielkim frasunkiem na Borawkę patrzył, który znowu stronił wyraźnie od niego. Już wychodząc widziałem, jak młody oficer Borawkę na ustęp wziąwszy o coś go okrutnie prosił i jakoby zaklinał, bo mu to z twarzy i z oczu, w których łzy się kręciły, widać było. Borawka zaś słuchał tego obojętnie i jakoby się explikował. Nareszcie młody oficer rzucił spojrzenie tak pełne gniewu i desperacyi na Borawkę, że ten aż się w kąt zrejterował, przyczem doleciały mnie słowa „podły infamisie,” którym to komplementem poczęstowany został JMC pan rotmajster i agent militarny.

Młody oficer blady jak upiór, z gwałtowną desperacyą na twarzy, wybiegł na ulicę, a pan rotmajster Borawka połknąwszy gładko ów despekt — snać już miał żołądek strawny na takie kondymenta — uśmiechnął się, wzruszył ramionami i za mną wybiegł. Jakoś już z góry ten p. Borawka nie bardzo mi się podobał, i nawet repulsyę jakąś do tego człowieka czułem, a po owej scenie z młodym oficerem tem mniej miałem ochoty radzić go się w moim interesie — gdy on sam dopędził mnie na ulicy i mówić do mnie zaczął:

— Słyszałem Mościpanie rotmistrzu... — począł z miną usłużną i obleśną.

— Jam nie rotmistrz — odrzekłem — a porucznik tylko.

— Aleś Waćpan godzien być rotmistrzem i będziesz nim zaraz, bylebyś Waćpan wszedł w interes ze mną... — odpowiedział nie tracąc kontenansu Borawka.

— Jakiż to interes Waszmość mi proponujesz?

— Mam kapitanię do sprzedania, panie rotmistrzu, doskonałą, wyborną kapitanię, nie tytularną, nie *agreże*, ale z szwadronem, w regimencie pięknym pod bokiem królewskim i pod szefem, który o regiment swój dba jak o młodą żonkę! Takiego wakansu Waćpan nie upolujesz w Polsce, choćbyś na to łożył największe pieniądze. A konfirmować Waćpana w nabytej u mnie randze zaraz będą, bo wszakże Waćpan wprost z pruskiego wojska przybywasz, szef owego regimentu bardzo ceni oficerów pruskich. Waćpan nie dawno z Prus, panie Narwoj?

— Niedawno — odrzekłem krótko.

— A wolno wiedzieć: za permisyą tylko, czy za abszytem? — zapytał Borawka i małe jego oczka chytrze się na mnie zwróciły.

— Za abszytem — odparłem, choć jak wiecie nie była to prawda.

— No to nie puszczajże Waszmość szczęśliwego trafunku, który ci się sam przezemnie nawija i bierz Waćpan mój wakans, dopóki cię kto nie uprzedzi.

— W którymże to regimencie, panie Borawka? — zapytałem.

— W regimencie JMC pana Koniuszego Wielopolskiego. Śliczny wakans, pyszny wakans! Takie wakanse piechotą nie chodzą!

— Ileż Waszmość chcesz za tę rangę?

— Wierzaj mi Waćpan, klnę się na parol honorowy, jakem rotmajster i agent militarny wszech dworów europejskich, że na tem zarobić nie chcę. Miałem w tym pułku przyjaciela, który nagle wyjechać musiał za granicę a nie miał kupca na prędce, więc mu przysługę zrobiłem, odkupując mu stopień. Dałem 30.000 złotych i tyle tylko odebrać pragnę. Interes czysty, konfirmacya pewna, papiery w porządku, tylko weź! Ale jeden warunek stawię abyś Waćpan zaraz się decydował, bo pieniędzy potrzebuję pilnie, a kupców mam dużo!

— To nie dla mnie interes, Mościpanie Borawka! — odrzekłem — jam ubogi oficer, a co sobie z żołdu uzbierałem między Niemcami, to mi na taką rangę nie starczy. Będę ja już inną drogą chodził za wakansem.

— Wiesz Waćpan co? — zawołał Borawka — czym to ja pierwszy raz dopiero na mieszku się podgolił dla przyjaciół? Bogu dzięki nie zginę jeszcze przez to! Co tu stracę, zarobię na koniach, które chcę kupić jutro jeszcze; dajże Waćpan 20.000 i staw gąsior u Mursza!

— Nie dam, bo nie mam; za droga ryba dla mnie; szukaj sobie Waćpan kogo innego! — mówię na to, bo go się pozbyć już chciałem.

— Waćpan nie wiesz, co odpychasz od siebie; chorągiew w dragonii Wielopolskiego między braćmi warta 30.000. Ale już ja chcę się pozbyć tego interesu; dajże Waćpan 15.000 złotych.

— Dam sześć tysięcy złotych! — mówię ja na to dla żartu.

— Dajże Waćpan dwanaście!

— Daję sześć.

— Dajże dziesięć, jeźliś Waćpan nie szalony!

— Daję sześć, i ani szeląga więcej, bo nie mam.

— Za sześć tysięcy Waszmość nawet w pustym regimencie złotego bandoletu nie kupisz! Pamiętajże Waćpan, że będziesz żałował! Dajże ośm!

— Dam sześć!

— Dajże Waćpan siedm!

— Sześć!

— Bodaj Waćpan zabit! Takiś Waszmość twardy i uparty, jakbyś się uwziął na moją krzywdę! Dawajże Waćpan tych sześć mizernych, ale zaraz!

(Dalszy ciąg nastąpi.)

GAWĘDZIARZ.

SMIERĆ KUMĄ.

Napisał A. Janiak.

Dawno już temu żył ubogi charłak, którego całym majątkiem była żona i siedmioro dzieci oraz chałupka stara, pusta i dziurawa. Od rana do wieczora musiał pracować w pocie czoła, a jednak głodno szedł spać i głodno szedł do pracy, bo zarobek nie wystarczyl na wyżywienie tak licznej familii.

Naraz porodzila mu żona ósme dziecię. Ojciec wziął je na rękę i ucałował, lecz łza zakręciła mu się w oku, bo czem liczniejsza familia tem więcej rozchodu, a zkąd dochód? Lecz cóż pomoże; trzeba było dziecię dać ochrzcić; na chrzestnego tylko pastuch oświadczył się być gotowym, a kobiety wszystkie odmówiły. Pomyślał sobie wtenczas: „Ha! pójdę na rozstajne drogi, a może tam znalezę jaką kumę." Jak rzekł, tak zrobił. Szedł i szedł, lecz kobiety żadnej spotkać nie mógł. Nareszcie stanął na krzyżówce i czekał przez dłuższy czas cierpliwie, lecz żadna kobieta się nie ukazała, zwrócił się dla tego, aby pobiedz napowrót do domu, gdy przed sobą ujrzał osobę jakąś wysoką i chudą, lecz taką chudą, iż nawet skóry na sobie nie miała; z pod dziwnego kapelusza wyglądała trupia głowa a ręce tworzyła sama kość bez skóry i ciała. Charłak się zdrygnął i odskoczył kilka kroków w tył.

„Nie bój się," rzecze kościotrup, „prędzej czy

później ze mną poznać się musisz. Nie szukaszże czasem kumy?"

„Tak", wybełkotał z przestrachem:

„Nie wziął byś mnie?" zapytała.

„Kto jesteś?" zawołał.

„Jestem śmiercią!"

„Śmierć?" mruknął charłak, „ha! temu, który w twe ręce się dostanie jest najlepiej i żaden kłopot go nie trapi." Głośno zaś dodał: „Jeżeli wielmożna pani śmierć nie pogardzi biedakiem, to i owszem.

Istotnie śmierć się stawiła na niedzielę, ochrzcono dziecię i nadano mu imię — Kalasanty. Gdy dzieciak już dorastał, musiał ojcu jak mógł pomagać: to rąbał drzewo, nosił wodę lub pasał bydło.

Pewnego razu zastępuje mu śmierć drogę i mówi do niego: „Słuchaj Kalasanty, nie dałam ci wiązarka, gdy byłeś dzieckiem, lecz dziś go ci dam."

Kalasanty wyciągnął rękę myśląc, że dostanie worek z pieniędzmi, lecz śmierć potrzęsła głową, aż było słychać szczękotanie wszystkich jej kości.

„Dam ci inny podarunek, jak pieniądze", rzekła, „zostaniesz lekarzem nad lekarzami. Chodź ze mną!"

Zaprowadziła go do ciemnego lasu i tam mu wskazała roślinę. „Ta roślina" mówiła, „zawiera najskuteczniejsze lekarstwo, ale tylko wtenczas jeżeli ja pozwolę. Narwij go, wyciśnij sok, i daj choremu kroplę, a ozdrowieje natychmiast. Ale pamiętaj że lekarstwo będzie skutkowało tylko wtenczas, jeżeli mnie ujrzysz u głowy chorego, jeżeli zaś będę stojała u nóg, nie waż mu się dawać lekarstwa, bo wtenczas i tobie będzie biada." To rzekłszy znikła.

Kalasanty uzbierał roślin, wycisnął sok w buteleczki i poszedł w świat. Wkrótce sława cudownego lekarza rozległa się po całym świecie, tem więcej jeszcze, że zaraz z góry wiedział, czy chory żyć będzie lub nie. Jeżeli bowiem widział śmierć stojącą w głowach chorego, dawał kropelkę lekarstwa, a chory natychmiast wstawal; jeżeli ją zaś ujrzał u nóg, westchnął tylko i mówił: „tu już żadne lekarstwo nie pomoże."

Zdarzyło się, że cudowny lekarz Kalasanty przybył do pewnego kraju, którego król ciężką był złożony chorobą, a najsławniejsi lekarze już nie wiedzieli rady.

Królowie oczywiście nie radzi umierają. Król ów chory też dowiedziawszy się o cudownym lekarzu, kazał go sprowadzić. Kalasanty stawił się na zawołanie, ale niestety! śmierć stała przy nogach. Uląkł się Kalasanty i wzrokiem ją błagał, aby była łaskawą przejść w głowy łoża. Śmierć tego uczynić nie chciała.

Kalasanty wpadł wtenczas na myśl, czyby nie mógł oszukać swej chrzestnej. Rozkazał słuźbie, aby szybko łóżko odwróciła. W sposób ten znalazła się śmierć przy głowie chorego. Nim zdołała przejść do jego nóg, lekarz wlał mu kroplę lekarstwa w usta i król natychmiast wyzdrowiał i serdecznie mu podziękował. Kalasanty spojrzał na chrzestną, lecz ta pogroziła mu tylko kościstym palcem. Zląkł się wprawdzie, lecz spojrzawszy na miłą twarzyczkę królewnej, zapomniał o pogróżce i wnet się w królewnie tak rozmiłował, że dalej już iść nie chciał, lecz postanowił pozostać na dworze królewskim. Król w nagrodę za wybawienie go od śmierci, postanowił oddać Kalasantemu rękę swej córki. Dzień ślubu już był naznaczony, gdy królewna nagle zachorowała.

Kalasanty pobiegł czemprędzej z lekarstwem, lecz jakże się przeraził, gdy ujrzał śmierć stojącą przy nogach swej narzeczonej królewnej. Nie wiedział innej rady jak tylko tę, iżby śmierć znowu oszukać. Udało mu się wprawdzie znowu, lecz śmierć pochwyciła go za rękę i prowadziła za sobą.

Wprowadziła go do jaskini, która pełną była palących się świec — wielkich, średnich i małych i zupełnie maleńkich. Jedne były co dopiero zapalone, drugie spaliły się już do połowy, inne zaś dogorywały. Śmierć stanęła przy świecy już dogorywającej.

„Te świece", rzekła, „przedstawiają życie ludzkie; człowiek umiera, gdy świeca dogoreje. Patrz! otóż twoja świeca"!

Z przestrachem spojrzał na dogorywającą już świecę i rzewnemi słowy prosił chrzestnę, aby mu nową zapaliła. Śmierć nie mówiła nic, wzięła nową świecę, którą resztę płomienia przytłumiła, a Kalasanty padł w tej chwili — trupem.

OPACTWO CARROW

— PRZEZ —

J. F. SMITH

Z ANGIELSKIEGO.

CZĘŚĆ PIERWSZA:

ZAMEK CARROW.

(Ciąg dalszy.)

— Obraz ten, — mówiła dalej klucznica — był zrobiony kiedy ostatni raz przybyła do Opactwa. Ktoby się był spodziewał, że ta piękna istota tak nizko upadnie? Ach! sir William kochał ją szalenie.

— Ale... jej uwodziciel?

— Nie wart był porównać się z moim biednym panem, jak noc do dnia! Był to człowiek młody, zniewieściały i rozpieszczony, prędzej podobny do pazia, niż do kochanka szlachetnie urodzonej damy. Jego postępowanie było tem haniebniejsze, że sir William zaszczycał go swą przyjaźnią i zaufaniem. Uważał go raczej jak brata ale nie jako obcego; zasiewał dobrodziejstwa, a zbierał niewdzięczność; tak powszechnie dzieje się na świecie!

— A... ona?

Przejęta wdzięcznością i współczuciem dla wuja, sierota nie śmiała nazwać ją ani wujenką, ani lady Mowbray.

— Ach! to też właśnie w tem wszystkiem rzecz najtrudniejsza do pojęcia, że kochała namiętnie swoje dziecię; zdawała się być najczulej przywiązana do męża. Nie uważaj to jako zarozumiałość z mojej strony, miss Elleno, ale ci powiem, żem ją kochała jakby moją rodzoną córkę! Bóg świadkiem, że jej niepojęte zamknięcie, niejednemu sercu bolesny cios zadało!

Łzy, które skropiły zwiędłe lica staruszki, były dowodem szczerości jej wyrazów.

— Nigdy hańba podobna nie spadła jeszcze dotąd na tę rodzinę, — mówiła dalej łkając. — Bez wątpienia opowiadano dziwne rzeczy o życiu lady Sary, której mąż był posłem w Hadze za rządów Jerzego I, ale nikt tym pogłoskom nie dawał wiary, a za powrotem, dyplomata powitał żonę z największą czułością. Ale niedługo trwała ich szczęśliwość... Biedna lady Sara wkrótce potem umarła!

— Któryż to jest portret lady Sary? — zapytała Ellena.

Ochmistrzyni powiedziała, że nie znajduje się w galeryi, ale w sypialnej komnacie Elleny której pradziad sir Ryszard Mowbray, nie mogąc znieść dłużej widoku tego obrazu, rozkazał, aby go usunięto z przed jego oczu.

— Może miał słuszne do tego powody, — szepnęła ayah.

Mistress Jarmy zarumieniła się aż po szlarki swego koronkowego czepeczka, tak mocno obchodził ją honor domu, któremu od lat młodocianych usługi swe wierne poświęcała.

— To jest oszczerstwo najpodlejsze! rozgłoszone z początku przez jego współzawodnika i wroga najzaciętszego, przez lorda Nugent! — zawołała z oburzeniem. — Śmierć lady Sary

była nagła; ale najznakomitsi lekarze kazawszy wydobyć z grobu ciało, oglądali je, a niewinność jej męża została dowiedzioną jasno jak słońce. Byłam jeszcze małą dziewczyną wówczas, ale przypominam sobie to wszystko, jakby to wczoraj było.

— Więc padło podejrzenie na jej małżonka? — rzekła ayah z wyrazem ironii.

Ochmistrzyni nie odrzekła słowa, tak była oburzona.

— Czy widziałaś trupa nieboszczki lady Sary, — dodała Indyanka.

Staruszka skinęła głową na znak potwierdzenia.

— Uważałaś lewe ucho? — badała znowu ayah.

To zapytanie sprawiło nadzwyczajne wrażenie na sędziwej staruszcze. Twarz jej przybrała wyraz najokropniejszego wzruszenia, i omal nie padła na ziemię bez zmysłów, gdy Ellena pochwyciła ją w swoje objęcia, aby ją do krzesła poręczowego zaprowadzić, na które bezwładnie się zsunęła.

— Wody! prędko! przynieś szklankę wody! — krzyknęła miss de Vere.

Mamka wyszła z uśmiechem szyderczym na ustach.

Ani od klucznicy, ani od piastunki nie zdołała miss de Vere żadnego otrzymać wyjaśnienia. Staruszka zapewniała, że to wskutek zbytniego upału słabo się jej zrobiło; ale od tej chwili unikała widocznie wszelkich stosunków z Indyanką, i nigdy przy niej nie wspominała więcej o przygodach rodziny Mowbray. Wkrótce i reszta domowników zaczęła podzielać to uczucie nieufności i wstrętu względem piastunki, która nareszcie znalazła się zupełnie osamotnioną w zamku. Niezbyt jednak obchodziła ją ta okoliczność, owszem, czuła się swobodniejszą, w tem przekonaniu, że nikt nie uważał i nie śledził jej kroków.

Wspomnione zdarzenie w galeryi portretów byłoby może głębiej utkwiło w pamięci młodej sieroty, gdyby przybycie Ashtona nie było ją wyrwało z rozmyślań nad tą niepojętą dla niej sceną. Tęsknie oczekiwała jego powrotu, bo tajemnica ciężyła jak występek na jej poczciwem sercu. Każde słowo, każde życzliwe spojrzenie wuja, było dla niej wyrzutem. — Nie chcę mieć przed nim nic tajnego, — mówiła do siebie samej częstokroć podczas nieobecności ukochanego; — skrytość każe coś złego przypuszczać, a jestem pewną, że zła myśl jest równie obcą sercu Henryka, jak mojemu własnemu!

Miała słuszność miss Ellena; wrodzony instynkt dziewicy nieomylnym był jej w tym względzie przewodnikiem. Zaufanie najzupełniejsze mogło jedynie im zapewnić sympatyę tak szlachetnego serca, jakie biło w piersiach baroneta; i choćby nawet wzgląd na przesądy świata, różnicę pochodzenia i majątkowych stosunków, zmuszał go do zerwania ich miłości, nie mógłby im przecież odmówić swego szacunku i współczucia.

Już prawie miało się ku wieczorowi, gdy Henry znalazł sposobność pomówienia sam na sam z Elleną.

— Zostałem zawiedziony w moich nadziejach, gorzko rozczarowany bezskutecznością mojej bytności w Londynie. Ojciec mój wybornego dobrał sobie agenta, bo sir James Grant równie jak on, okazał się nieczułym; nie mogłem wymódz na nim żadnych szczegółów mego ojca dotyczących, tak co do teraźniejszego jego stanowiska w świecie, jak i co do przeszłości jego. Muszę więc sam sobie utorować drogę na przyszłość, sam bez niczyjej pomocy.

— Nie wątpisz wszakże o pomyślnym skutku? — rzekła dziewica patrząc mu w oczy z miłością i zaufaniem.

— Jedna godzina to rozstrzygnie...

— Jakże mam rozumieć twoje słowa?

— To, że w tym krótkim przeciągu czasu dowiem się, czego mam się spodziewać lub lękać ze strony Williama Mowbray. Muszę wszystko dziś jeszcze wyjawić. Gdybym dłużej taił miłość mą ku jego siostrzenicy, poniżyłbym sam siebie; co większe, dałbym jemu prawo mną pogardzać. Nie mogę skrytością odpłacać mu za jego uprzejmą gościnność, z jaką przyjmuje mnie w swym domu, ani brakiem zaufania odwdzięczać przyjaznego dla mnie współczucia. Nie chcę, aby nawet cień podejrzenia padł między moją uczciwością a jego sądem o mnie. Czy nie zgadzasz się ze mną Elleno?

— Jakże mogłabym nie pochwalać tego zdania! — zawołała Ellena pełna radosnego podziwienia dla szlachetnego i energicznego postępowania swego przyjaciela. — Nie umiem się wysłowić, mój drogi Henryku! ile to postanowienie droższym cię czyni dla mnie, spra-

wdzając wszystko, czego oczekiwać mogłam po twojej prawości i nieskazitelności charakteru. O ile poznałam mojego wuja, sądzę, że nie będzie głuchym na głos swojego serca, które pewno za nami przemówi do jego rozsądku!

— Gdyby miłość nasza go rozgniewała, gdyby nasze nadzieje zawiedzione być miały! — zawołał młodzian boleśnie, — gdy się zastanawiam nad różnicą, jaka istnieje pomiędzy nami, zaledwie śmiem zachować iskierkę nadziei, aby moje szalone życzenia urzeczywistnić się miały!...

— Będziemy czekać! — przerwała miss de Vere, opierając lekko dłoń na ramieniu młodego człowieka, — a czekać będziemy z tem większą spokojnością, że zachowamy to pocieszające przekonanie, iż postępowaliśmy rzetelnie. Bardzo być może, iż wuj zechce przez czas i rozłączenie zapewnić się, czy miłość nasza wytrwa tę próbę. W takim razie zdajmy się cierpliwie na jego wolę; ale znam ja zbyt dobrze jego nieograniczoną dobroć, abym się miała obawiać, by nas na wieczne skazać chciał rozłączenie!

Ułożono więc, że tego jeszcze wieczora Henry Ashton pomówi z sir Williamem Mowbray.

Gdy zakochana para wróciła do Opactwa po tej rozmowie, która się odbywała podczas przechadzki w parku, Henry zobaczył starego Marcina, siedzącego pod wystawą zamkową, bluszczem oplecioną, spoglądającego na zachód słońca, i zapytał go, czy nie wie, gdzie jest baronet.

— Jest teraz w galeryi portretów, — odpowiedział staruszek z przychylnym uśmiechem, — tam zwykł co wieczora godzinę przebywać.

— Jakże się dowiem o skutku twojej rozmowy z moim wujem? — zapytała Ellena zniżonym głosem.

Kochanek jej zatrzymał się chwilę, a wzrok jego padł na prześliczną kamelię, przypiętą u gorsu dziewczęcia.

— Daj mi ten kwiatek! — rzekł do niej, a oczy jego wymowniej od słów popierały tę prośbę.

Z uśmiechem dała mu kamelię.

— Jeżeli serce sir Williama wysłucha mych błagań, jeżeli mi zostanie nadzieja pozyskania jego zezwolenia, odeszlę ci ten kwiat przez Marcina; w przeciwnym razie zachowam go jako zakład mej wierności dla ciebie, aż się później kiedyś znowu zobaczymy!

— Dobrze, panie Henryku! — rzekł sędziwy masztalerz, — będę na ciebie czekał, choćby do północy, aż wrócisz od baroneta. Nie mógłbyś stosowniejszego miejsca znaleźć do pomówienia z nim, jak w galeryi obrazów jego rodziny.

A to z jakiej przyczyny? — zapytał młody Ashton.

— Bo tam serce jego roztkliwia się, jak serce kobiety. Nie mogę ci przyczyny tego powiedzieć; tylko język złośliwy rozgłaszać zwykł tajemnice swych chlebodawców. Ale powtarzam, nie mogłeś pan lepiej wybrać jak to miejsce. Pan mój zrzuca tam wszelką dumę Mowbray'ów.

Rzeczywiście sir William przechadzał się według swojego zwyczaju w starożytnej sali, słabo od dwóch czy trzech lamp oświetlonej. Było to jego ulubione schronienie, kiedy chciał marzyć w samotności; znano ten jego zwyczaj i nie śmiano mu tam nigdy przeszkadzać.

Dla tego też nie mało się zdziwił, usłyszawszy lekkie stuknięcie we drzwi. Z razu mniemał, że go słuch zwodzi; przeto stanął, by uważniej nadsłuchiwać. Po chwili szelest mocniej się powtórzył.

— Wejdź, kto tam jesteś! — zawołał baronet.

Niebawem ujrzał przed sobą Henryka Ashton. Twarz młodego chłopca była bladą jak ściana, tylko głos pewny, jakim przemówił do sir Wiliama, dowodził, że musiał zebrać całą odwagę, aby dopełnić trudnego obowiązku, jaki sobie ułożył.

— Czy się co złego wydarzyło? — zapytał pan zamku, niemniej zdziwiony jego przybyciem do komnaty, jak bladością twarzy swojego gościa.

— Przychodzę, sir Williamie, aby się z tobą może na zawsze pożegnać!

— Jakto? czy zamyślasz opuścić Anglię?

— Nie Anglię, ale dom mojego stryja, gdzie dotąd mieszkałem.

Samotnik zachowywał milczenie. Ten dźwięk głosu Henryka zdradzał jakąś walkę wewnętrzną, jakieś silne postanowienie, jakby z trudnością wyrzeczone, i nie wiedział jak sobie tłumaczyć powód do tego. Od pierwszej chwili zejścia się z wybawcą ukochanej siostrzenicy, baronet żywe zajęcie uczuł dla niego, pragnąłby był przyczy-

nić się do jego szczęścia w przyszłości, polubił jego towarzystwo, i rozwinął jego umysł pod niejednym względem. Ztąd też doznał przykrego uczucia na myśl rozłączenia się z nim.

— Czy mogę cię zapytać o powód tego wyjazdu? — przemówił po długiem milczeniu.

— Czuję się tutaj nieszczęśliwym. Od chwili poznania ciebie i miss de Vere, nie jestem zadowolony z nizkiego stanu, w jakim się urodziłem.

— Posiadasz ambicyę? — rzekł z uśmiechem sir Mowbray.

— Oh! nie sądź tak źle o mnie, sir Williamie! cierpienia moje ze szlachetniejszego wypływają źródła, jak z chęci wywyższenia się nad stan mój... z miłości...

Na te słowa zasłona spadła z oczu baroneta; poznał, jak nierozważnie postąpił, zezwalając na zbliżenie się tych dwojga dzieci, tak stworzonych do tego, aby się wzajemnie ocenić i pokochać umieli. Henry stał przed nim jak winowajca, oczekujący wyroku sędziego.

— Biedne dziecko! — szepnął baronet, — biedny chłopiec!

Podobnież odezwał się doktor Orine, kiedy gadatliwość jego ochmistrzyni uwiadomiła go o niebezpieczeństwie, w jakiem znajdował się jego uczeń.

— Możesz mnie potępić, sir Williamie, — przemówił młodzieniec, — tak jest bowiem istotnie, jak ci mówiłem... wyłaj mnie, odepchnij od siebie, jeżeli zechcesz! Zniosę raczej to wszystko, niżbym miał doznawać wyrzutów własnego przekonania, że cię oszukuję, przyjmując twą szlachetną gościnność, bo wtedy czułbym się poniżony w moich oczach, nie godny twojej litości, ani twojego szacunku. Kocham miss Ellenę! Powinieneś zrozumieć potęgę tego uczucia, poświęcenie całego serca i duszy... przedsięwzięcie moje stanie się godnem twojej siostrzenicy!...

— A znaszże uczucia Elleny?

— Ona także mnie kocha! — zawołał Henryk z uniesieniem, — jej wspaniałomyślna dusza nie czekała na rady roztropności i zdanie świata. Pokochała mnie, pomimo mojego nizkiego pochodzenia, a ta jej wzajemność mnie uszlachetnia!... Nie śmiem żądać, sir Williamie, byś pochwalał tę miłość; ale tylko zaklinam i błagam cię, byś wstrzymał gniew twój, aż w walce ze światem potrafię zdobyć sławę i zrobić sobie imię, któreby bez zarumienienia się przyjąć mogła! Serca nasze zjednoczyły się, ty nie będziesz tak okrutnym, by je rozrywać. Błagam cię, zostaw mi tylko czasu tyle, abym się stał godnym łaski, o którą błagam!...

Blady i drżący ze wzruszenia młodzian, błagalnym wzrokiem patrzał w oblicze baroneta, z którego ust miał usłyszeć wyrok stanowczy, wyrok, który miał go albo w rozpacz pogrążyć, albo w serce jego wlać nadzieję i radość, co życie jego szczęściem rozpromienić mogła.

Upłynęło kilka chwil, nim się baronet zdołał namyślić do wymówienia tych słów ostrych i lodowatych, co miały rozwiać te słodkie złudzenia. Głos jego był niepewny i drżący, oblicze wyrażało dobroć i współczucie, gdy się odważył przemówić; znał bowiem, jak są dotkliwe boleści, które z zawiedzionej miłości pochodzą.

— Henryku! nie śmiem słuchać mych uczuć, ani podszeptów mojego serca; nie chcę dawać ci nadziei, która się nie ma ziścić! Mam obowiązki względem pamięci mej zmarłej siostry, mam zobowiązania dla nazwiska mojego, dla opinii świata. Nigdy cię Ellena zaślubić nie...

— Oh! nie domawiaj tego! — przerwał młodzian blizki szaleństwa. — Rozsądek to samo mi już mówił, ale ja marzyłem wbrew rozsądkowi. Jeszcze nie wysłuchałeś wszystkiego, com ci miał powiedzieć. Twoja odmowa do grobu mnie popchnie. Przypomnij sobie, sir Williamie, że to właśnie twa dobroć dla mnie, przyjaźń, jaką mi okazywałeś, pozwoliły mi przewidywać możliwość ziszczenia mych marzeń.

— Czy chcesz mi wyrzucać moje postępowanie? — spytał baronet łagodnie.

— Ach, nie! tylko chcę prośbę zanieść. Niepodobna, abyś ją odepchnął. Wszak ja nie żądam twojego zezwolenia, błagam cię jedynie o cierpliwość. Tyle jest na świecie dróg otwartych do osiągnięcia zaszczytów i chwały, że mając tak błogie światło wskazujące mi drogę, niepodobna, bym celu nie dopiął!...

— Roztropniej byłoby może, starać się uleczyć ranę, póki jeszcze nie zadawniona, — powiedział odludek z wyrazem smutku. — Czas to wielki lekarz serca!...

— Nic nie uzdrowi serca zdruzgotanego!... Ale tyś nigdy nie kochał, sir Williamie!...

W nieświadomości swojej, młody chłopiec targnął jedną z tych strón, których zadrgnięcie w szaleństwo może wprawić człowieka, co wiele cierpiał; zadrżał teraz, przerażony burzą, jaką jego wyrazy wzniecily.

— Jam nigdy nie kochał! — krzyknął baronet z wybuchem śmiechu, który rozbudził wszystkie echa, od dawna w starej galeryi uśpione. — Chłopcze niebaczny! ten płomień, który bezwiedni szaleńcy wyobrażają sobie jako iskrę Bozkiego ognia, gorzał w mojem sercu, aż je w perzynę obrócił, a jeszcze gorzeć nie przestał! Ani modlitwa, ani rozum nie zdołają uśmierzyć tych srogich męczarni... Obłąkanie walczyło z tem uczuciem i pokonane zostało! Kochanek rozłączony od przedmiotu swojej miłości, może znaleźć jaką ulgę w oddaleniu; w sercu jego zostaje przecież jakiś kącik przystępny dla uciech życia... Ale, mój Boże! jakaż radość potrafi rozweselić, jaki powiew łagodny zdoła ukoić tęsknotę serca rozdartego, które kochało i zostało zdradzone?...

— Przebacz! ach przebacz mi! — wymówił Henry Ashton przytłumionym głosem, przelękły gwałtownem uniesieniem baroneta, którego wzrok zdawał się ciskać błyskawice.

Sir William uchwycił za ramię młodzieńca i powiódł go, czyli raczej pociągnął za sobą, jak dziecko, do przeciwległego końca galeryi, gdzie się znajdował ów obraz czarnym aksamitem zakryty. Zdarł raptownie zasłonę, i pokazał wizerunek, przedstawiający śliczną kobietę z dziecięciem na ręku.

— Nie rozumuję o tem czegobym nie doznał, nie doświadczył w życiu aż nazbyt dotkliwie! Oto widzisz obraz wszystkiego, com niegdyś posiadał, i co mi świat wydarł: żonę, dziecię, honor .. Małżonka, którą ubóstwiałem, porzuciła mnie, naznaczywszy mnie w sercu i na czole piętnem niezatartej hańby, i zrobiwszy mnie pośmiewiskiem świata i błaznów wśród niego żyjących. Na domiar mego nieszczęścia, zabrała mi syna, który był pociechą mojego serca, dziecię, które mi droższem było nad życie, dziedzica mojego imienia i mych rozległych włości; skazała mnie na samotne i nędzne istnienie, a kiedy godzina śmierci dla mnie uderzy, nie będę miał przy sobie ręki synowskiej, aby mi ostatnie osłodziła chwile, aby mi po zgonie powieki zamknęła!

— Rzeczywiście, okropne były twoje cierpienia, — rzekł Henry, — ale przecież jedna zostaje ci pociecha!

Sir Mowbray spojrzał na niego z zadziwieniem i niedowierzaniem.

— Czujesz, że nie zasłużyłeś na te pociski losu? — dodał młodzieniec.

— Biedna moja dziecina! — jęknął samotnik, nie zważając na powyższe wyrazy, — moje drogie dziecię! oddano je w obcą opiekę, pozbawiono miłości ojca, który byłby kształcił jego umysł, wyplewiał z jego serca szkodliwe chwasty, jakie w najżyzniejszym gruncie namiętności zasiewać zwykły.

W tej chwili nagła myśl zajaśniała w duszy młodego Ashtona, a szlachetne postanowienie, jakiem go natchnęła, rozpromieniło jego oblicze.

— Sir Williamie! — zawołał, — daruj, że śmiem cię pytać, za nic w świecie nie śmiałbym odnawiać twej boleści, ale inny powód niż ciekawość mną kieruje: czy nie odkryłeś nigdy żadnej poszlaki, gdzie się znajduje syn twój?

— Nigdy!

— W jakimże jest wieku?

— Miałby teraz lat ośmnaście. Aż do Rzymu dotarłem, ścigając matkę i jej uwodziciela. Przybywszy do tego miasta, gorączka, która paliła me serce, uderzyła na mózg, i przez kilka tygodni leżałem bez pamięci, nie wiedząc i nie czując, co się w około mnie działo. Kiedym odzyskał zdrowie, było już zapóźno; wiarołomna żona i zdradliwy przyjaciel uciekli przed zemstą obrażonego męża, i od tego czasu nie otrzymałem żadnej wieści, którąby mnie naprowadziła na ślad syna utraconego.

— Ja go odszukam! — zawołał Henry z żywością. — Duszą i ciałem poświęcę się temu przedsięwzięciu. Już od dawna wzdycham do celu godnego zatrudnić niespokojną żądzę mojego ducha; otóż znalazłem ten cel dzisiaj! Tak, przyrzekam ci, sir Williamie, uściskasz jeszcze tego syna, którego stratę opłakujesz, jeżeli tylko odwaga i wytrwałość jednego człowieka zdołają wykonać to przedsięwzięcie!

Bladość i rumieniec występowały na przemian na twarz baroneta, podczas tej mowy młodego zapaleńca.

— Jakiejże za to pragniesz nagrody? — rzekł nareszcie.

— Nie lękaj się, sir Williamie, abym tak był nikczemny, i pragnął udręczeniom serca ojcowskiego zawdzięczać zezwolenie na szczęście mojego życia!

— Zacny i szlachetny chłopaku! — zawołał baronet. — Czemże jest pycha, majątek i opinia świata w porównaniu z twym charakterem wspaniałomyślnym? Powróć utracone dziecię w moje objęcia, a jeżeli serce Elleny nie zmieni swych uczuć ku tobie, przyrzekam, iż nie będę się dłużej opierał tym związkom!

Zakochany młodzian nie był w stanie wynurzyć słowami swej wdzięczności, pochylił się, by ucałować ręce jego, ale ten go przycisnął do serca. Te dusze dzielne umiały zrozumieć się i pokochać wzajemnie.

Tejże samej nocy, kwiatek, który Henry Ashton otrzymał od swej ukochanej, został jej odesłany, według ich poprzedniej umowy, a śliczne dziewczę całując go, zasnęło, kołysane najsłodszemi marzeniami.

XVI.

Wychodząc z galeryi po owej rozmowie z baronetem, Henry Ashton upojony był słodką nadzieją, tym nektarem serca młodego. Znikły z przed oczów jego chmury ociemniające jego przyszłość, i tylko jasność błogą mniemał widzieć przed sobą. Miał już cel pewny swych dążeń i usiłowań, i świetną nagrodę do pozyskania.

Radośnie więc i wesoło spieszył nazajutrz nad brzegi małego jeziora, gdzie spodziewał się spotkać Ellenę, której pragnął opowiedzieć, jak sir William przyjął jego wyznanie miłości dla pięknej sieroty. Ale w miarę, jak się zbliżał do przedmiotu swych uczuć, słowa wyszły mu z pamięci i tylko imię jej zdołał cichym wyszepnąć głosem i rękę jej do ust swych przycisnąć... Oboje długą chwilę milczeli, bo ich młodzieńcze serca przepełnione były niewysłowionem szczęściem.

Nareszcie ocknąwszy się z owego upojenia, rozpoczął Henry opowiadać szczegółowo wszystkie okoliczności tej pamiętnej rozmowy. Gdy przestał mówić, miss de Vere zapytała głosem stłumionym:

— A cóż nastąpi, jeżeli nie odszukasz straconego dziedzica?

— Ja nie miałbym go odszukać! ach, gdyby był w głębi ziemi ukryty, mógłżebym go nie odszukać, mając taką gwiazdę za przewodniczkę mych kroków? O nieba! droga Elleno, radość, jakiejbym doznał, oddając nieszczęśliwemu ojcu syna przez tyle lat opłakiwanego, zaledwoby ustępowała tej rozkoszy, którą uczuwam myśląc o tem, iż kiedyś będę cię mógł nazwać moją!

Przeszło godzinę młodzi zakochani błąkali się nad brzegami jeziora, którego ciche nurty swym szmerem zdawały się wtórować niebiańskiej melodyi, jaka ich serca napełniała. Nie taili przed sobą, że może długie lata upłyną, nim się urzeczywistni ich błogie marzenie miłości; lecz to nie zakłócało ich spokoju. Podobni do młodych wędrowców, którzy widząc ozłocone słońcem kopuły i wieżyce miasta odległego, gdzie jest cel ich pielgrzymki, nie myślą o wąwozach i przepaściach, jakie ich jeszcze oddzielają od pożądanego kresu podróży, ani o cierniach, co im zagradzają drogę.

Kiedy przybyli do zamku, mistress Jarmy powiedziała im, że sir William oczekuje ich w bibliotece. Zastali go tam siedzącego między księgami, z twarzą wybladłą, noszącą jeszcze ślady wzruszeń z poprzedzającego wieczora. Przyjął Henryka Ashton dobrotliwie, ale z wejrzeniem pełnem powagi; dla Elleny okazał tkliwość ojca, który przyjmuje drżące wyznanie pierwszej miłości z ust ukochanej córki.

— Czy kochasz tego młodzieńca, Elleno? — rzekł do niej, kiedy rzuciła mu się na szyję, chcąc ukryć rumieniec, który jej twarz ozdobił.

— Kocham, — szepnęła cichym głosem, i jak powiew lekkiego wietrzyku, wśród kwiatów i krzewów wonnych przelatującego.

— Są dwa rodzaje szlachectwa, — mówił dalej wuj Elleny, — szlachectwo rodu i szlachectwo wrodzone duszy.. Jedno i drugie cenię; ale jak dzieła Boże przewyższają w doskonałości dzieła ludzkie, tak również zalety umysłu i serca, zacne popędy duszy nieskażonej, uczciwość, zamiłowanie cnoty i prawdy, przewyższają w mojem przekonaniu przypadkową zacność urodzenia i nazwiska, długim szeregiem dzielnych przodków wsławionego. Henryk posiada te przymioty, dla tego przyrzekłem mu rękę twoją pod pewnym warunkiem.

— O mój drogi, mój dobry wuju!

— O mój wspaniałomyślny dobroczyńco!

— Zamiast tego warunku inny położę. Pierwszy wydarł się ze zbolałego serca ojca, który dręczony tęsknotą za utraconym synem, ujrzał niby iskrę nadziei, że go znowu odzyska; taki warunek niegodny jest nas obydwóch. To, co obecnie zastrzegę, nie będzie mieć tak samolubnej cechy; nie chcę bowiem, by szczęście wasze od ślepego trafu zawisłem być miało, — dodał ze smętnym uśmiechem. — Staraj się zostać godnym Elleny przez twoje czyny, wejdź na drogę użyteczną krajowi i zaszczytną w świecie!

— Czyż może być co chwalebniejszego i zacniejszego, jak poświęcić się odszukaniu twojego dziecięcia, ukoić tyloletnie cierpienia, które twą duszę przygnębiły, uleczyć rany, które srogie pociski losu zadały twojemu ojcowskiemu sercu? Nie znasz mojej energii, sir Williamie, nie wyobrażasz sobie, ile odwagi mi doda wdzięczność i miłość, z jaką cierpliwą wytrwałością zajmę się rozwikłaniem haniebnej intrygi, którą twe wrogi uknuli. Mam nadzieję, że mi się uda wykonać to przedsięwzięcie. Dobroć twoja dla mnie podbiła me serce zupełnie, i nie czułbym w całej pełni mojego szczęścia, gdybyś ty nie doznał upragnionej pociechy oglądania twojego utraconego potomka!

— Skłoń się do jego żądania najlepszy mój opiekunie! — szepnęła Ellena. Cóż znaczą zaszczyty i powodzenia na wielkim świecie w porównaniu z tą rozkoszą, jakiejbyśmy doznali wszyscy, gdyby twoje życie pozbyło się tej tęsknoty, gdyby odszukanie twojego dziecięcia powróciło ci swobodę i szczęście, i miłym spokojem uwieńczyło nareszcie późniejsze lata żywota twojego?

— Możebym wskazał mu drogę, na którą wstąpiwszy, mógłbym zarazem wymaganiom honoru i wdzięczności zadosyćuczynić; ale trzeba będzie ponieść ofiarę...

Mimowolnie oboje kochankowie spojrzeli na siebie przy tych słowach baroneta, i w tem spojrzeniu wyczytali obopólną ufność w życzliwość zamiarów i w szczerość sir Williama, a zarazem uległość jego wyrokowi.

Oddalenie jest próbą, która wzmacnia przywiązanie prawdziwe serc dla siebie przeznaczonych, tak jak kamień probierczy pozwala rozpoznać czyste złoto od podłego kruszcu.

— Możemy je przetrwać, — rzekła Ellena stanowczo, — moja miłość nie ulegnie zmianie.

— Ani też moja, — odrzekł Henry z zapałem, — chybaby śmierć ugodziła w to serce, co tylko uwielbieniem dla ciebie wzdycha. Obraz twój był pierwszym, co się odbił w mojej duszy, on też jedynym będzie i ostatnim przedmiotem mego ubóstwienia!

Jakeśmy już powiedzieli w pierwszym rozdziale tej powieści, sir William utracił w Rzymie ślad swej małżonki i jej uwodziciela, którzy tak dotkliwy cios zadali jego szczęściu. Wyobrażał sobie zatem, że w Rzymie będzie mógł Henry Ashton odszukać ich śladów. Chociaż baronet dawno już usunął się od świata, nazwisko jego i świetny majątek zapewniały mu jednak pewną wziętość u rządu, i mógł łatwo spodziewać się pozyskania dla swego młodego przyjaciela jakiej posady przy poselstwie we Włoszech. Podobne żądanie ze strony zamożnego obywatela, którego wpływy mogłyby rozstrzygać na wyborach w hrabstwie, gdzie były położone jego rozległe majętności, nie mogło być odrzucone za czasów ministerstwa Sidmoutha i Castlereagha. Zaproponował więc młodemu Ashtonowi, by sobie obrał zawód dyplomatyczny, jako mogący najsnadniej otworzyć mu znakomite stanowisko w świecie, a zatem nastręczył sposobność urzeczywistnienia powziętego zamiaru, to jest odszukania porwanego dziecięcia sir Williama Mowbray. Karyera dyplomatyczna nie zupełnie może odpowiadała usposobieniom Henryka, i byłby wolał inny obrać sobie zawód, ale czuł zbyt wiele wdzięczności dla baroneta, aby się mógł wachać w przyjęciu jego wniosku. Głos jego był cokolwiek drżący, gdy zapytał się swojego dobroczyńcy, kiedy wypadnie opuścić Carrow-Abbey.

— Za miesiąc, — może nawet wcześniej, — odpowiedział sir William.

— Miesiąc! — szepnął młodzieniec do ucha Ellenie przy pożegnaniu, gdy wyszli z biblioteki, — tylko miesiąc nam pozostaje, aby używać szczęścia i miłości!

— Wdzięczność i wykonanie obowiązku zastąpią nam przez ten czas miejsce miłości i rozkoszy, — odpowiedziała szlachetna dziewczyna, usiłując ile możności wstrzymać się od łez.

Wracając na folwark, zakochany pytał sam siebie, jak oznajmić stryjowi i jego żonie o bliskim wyjeździe swoim. Co się tyczyło jego

miłości i błogich nadziei, nie miał zamiaru czynić im najmniejszej wzmianki o tem.

— Nikt droga Elleno, nikt oprócz twojego opiekuna, nie powinien znać tajemnicy serc naszych, aż do tej chwili, kiedy bez zarumienienia się będziesz mogła przed światem wymówić nazwisko tego, który jest przedmiotem twego wyboru! Trzeba żebym wprzód stał się godnym miłości, jakąś mi przyrzekła, — mówił w duchu, idąc do mieszkania swoich przybranych rodziców.

(Dalszy ciąg nastąpi).

O MIESZKANCACH AFRYKI.

Ruch kolonizacyjny zwraca się teraz szczególnie do Afryki. Jest to bowiem część świata mało dotąd zaludniona i może jeszcze wyżywić miliony ludności. Dla tego zaciekawić może też następujący opis, przesłany przez pewnego podróżnika.

Rozległe równiny piaszczyste południowego końca Afryki zamieszkują po większej części dzikie jeszcze plemiona Hotentotów i Buszmanów. Z tych ostatni są prawie o zwierzęcych własnościach, nawet najprostszej budy na schronienie sobie nie budują, lecz zadowoleni są, jeżeli przed upałem słońca mogą pod krzakiem lub w jaskini się schronić. Hotentoci jednak są z usposobienia dobroduszni.

Południowi ci mieszkańcy Afryki są małego wzrostu, płci żółto-śniadej. Czaszka jest u nich podługowata, w tył ściśnięta, czoło nizkie i okrągłe a małe oczy głęboko w głowie ukryte. Nos, nadzwyczaj krótki, ma jednak szerokie nozdrze. W dużych uszach a często i w nosie noszą obrączki metalowe. Wielożeństwo jest u nich dozwolone, mimo to rzadko kto z nich ma dwie żony, bo gdy sobie żonę sprzykrzył, odseła ją napowrót rodzicom. Czas przepędzają jeżdżeniem i polowaniem. Nie mają koni lub osłów, posługują się wołem, któremu zamiast siodło przypinają futro. Buszmani lubią nadzwyczaj polować na strusie. W tym celu ubierają się w skórę strusia i tak podobni do tego ptaka skradają się do niego, idąc zawsze przeciw wiatru. Polujący zbliża się pomału do nich, udawając pasącego się strusia, a gdy już jest dosyć blizko, to strzałą, zapuszczoną jadem, zabija go. Zająca, kto może zabija, lecz nikt mięsa z niego nie je. Przyczyną tego jest zabobon, w którym widocznie myśl o nieśmiertelności duszy się zawiera. Hotentoci opowiadają o tem: W dawnych czasach posłał księżyc do człowieka zająca z poselstwem: jako ja zachodzę a znowu się rodzę, tak i ty człowiecze umrzesz a znowu się narodzisz. Zając bieżał rychło, ale zamiast co miał powiedzieć „znowu się narodzisz" powiedział „znowu się nie narodzisz. " Księżyc zaś za karę, że źle spełnił posłannictwo, uderzył go po nosie i rozszczypił mu wargę. Zając uciekł i musi biegać za karę do dzisiejszego dnia.

Południowi Afrykanie są bardzo żarłoczni. Cały dzień gotują i pieką. Leżąc przy garnku wybierają najlepsze sztuki mięsa i maczając je w sadle zajadają. Gdy się zaś do woli nasycili, kulają się po brzuchu, albo też jeden drugiemu po brzuchu depce, żeby prędko strawili i mogli na nowo jeść. Jeżeli nie mają mięsa, kontentują się też mlekiem i dziką cebulą.

Panuje też u nich szczególniejszy zwyczaj, że adoptują sobie ojca lub matkę. Każdy kupiec europejski musi się temu zwyczajowi poddać, i ma prawie w każdej wsi takich rodziców przybranych. Ci zaś mają prawo żądać od niego czy wołu, czy jego surduta tak samo, jak on jako syn ma to same do nich prawo; ale zwyczajnie cudzoziemcy źle wychodzą na tem.

Niemal wszystkie plemiona południowej Afryki wierzą w siłę tajemniczą amuletów, którymi są np. zęby lwa lub hyeny, suszone mięso, korzonki itp. U wszystkich też czarnoksiężnicy cieszą się wielkiem poważaniem i w najlepsze ciemny lud oszukują. Tak np. lecząc chorego, często rzeżą go w miejscu, gdzie go boli i wyciągają z rany jaszczurkę lub żabę, oświadczając, że to było powodem choroby. Umarłego namazują krwią koźlą, zaszywają w baranią skórę i kładą do grobu, nad grobem kładą kamienie, ażeby hyeny nie wygrzebały ciała.

Środkową Afrykę od ziemi Hotentotów aż ku puszczy Saharze, zajmują plemiona Negrów czyli Murzynów, ludzi czarnych. Wzrost tychże jest średni a skóra ich ma kolor czarnego aksamitu i jest zawsze zimna. Twarz mają podługowatą, ciemię w tył ściśnięte, włosy czarne, kędzierzawe i delikatne jak jedwab. Nos jest krótki i szeroki, dolna warga wypukła, oczy jakby na wpół zamknięte. Są to w ogóle ludzie silni, lecz nie lubią pracy, i raczej sobie śmierć zadają, niżby się wzięli do ciężkiej roboty.

Najważniejsze plemiona murzyńskie są: Kafrzy, Zuluzi i Beczuanie. Kafrzy są piękni, poczciwi i szczerzy, czem się odróżniają od reszty Negrów, którzy są fałszywi i przebiegli. Trudnią się przedewszystkiem chowem bydła. Kto ma wielkie stada, uważany jest za milionera i człowieka najszczęśliwszego; może bowiem każdy dzień mięso jeść mleko pić ile się mu podoba i wiele żon sobie trzymać. Żonę można dostać u nich za 8 krów a najpiękniejszą za 14. Bogacze owi mają niekiedy więcej żon niż im miło; ubożsi bowiem przyprowadzają im swe córki, którym bez obrazy przyjęcia odmówić nie mogą. Zięciowi nie wolno mówić z teściową, a to dla tego, ażeby się ona nie mięszała do spraw młodych małżonków. Ma zaś zięć coś nader ważnego z nią do załatwienia, to robi taki piekielny hałas, że się cała wieś zbiegnie. Potem wstąpi za gęsty płot i rozmawia z nią.

Największą radość sprawia im zdobycie słonia. Dorosły słoń daje im wielką ilość łoju, który u nich jest najcenniejszą rzeczą. Używają go nie tylko do jadła, ale też dużo go spotrzebują na namazanie ciała. Co do pojęć religijnych, to mają niejakie ciemne pojęcie o nieśmiertelności duszy. Mają także swoich czarnoksiężników, którzy chorych uzdrawiają a deszcz z nieba zwołują.